

Gdzieś daleko stąd

Truchan

Mróz

Dominiczak

Juraszek

Ścieszek

Piórkowski

Sawicki

Dzik

Żytowiecki

Karbowski

Wędrowcy, włóczędzy, wagabundzi



GDZIEŚ DALEKO STĄD
wędrowcy, włóczędzy, wagabundzi

antologia pod redakcją Dawida Juraszka

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2016

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Robert Wieczorek

Copyright © Oficyna wydawnicza RW2010

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2016

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2016

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-191-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów
w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Stanisław Truchan

TAO ARIADNY

I. Locus phragmitis

Ada – według dowodu osobistego Ariadna Emma – machnęła niecierpliwie ręką.

– Nie zwracaj mi teraz głowy! Idź poszukaj słownika łacińsko-polskiego. Chyba jeszcze nie oddałeś na makulaturę, co?

– No... Mam go gdzieś... Znaczy... Nie to, że mam go gdzieś, tylko... Powinien leżeć na którejś półce...

– No to na co czekasz?!

Tymon zerknął na kartę tarota opartą o budzik – o ile dobrze rozpoznał, żona miała przed sobą Asa Denarów – i na arkusz papieru zabazgrany kabalistycznymi znakami, po czym westchnął i poszedł do swojego pokoju. Długo nie wracał; widocznie szpargały z czasów, gdy był średnio wybitnym uczniem klasy humanistycznej pewnego renomowanego liceum, tkwiły bardzo głęboko pod nowszymi warstwami kulturowymi (tak przynajmniej powiedziałby jego kumpel z klasy, Michał zwany Cybulkiem, obecnie początkujący archeolog). W końcu jednak zjawił się, dzierżąc w dłoni kieszonkowy słowniczek w ceglastoczerwonych okładkach, z naklejoną z tyłu ceną: 32,00 zł.

– Do dupy ten twój słownik! – usłyszał po chwili. – Nie ma w nim słowa *phragmitis*.

– A po co ci to słowo?

– Potem ci wytłumaczę. W każdym razie to jest ważna wskazówka. Muszę się dowiedzieć, co to znaczy.

– No to może w necie znajdziesz? – podsunął jej Tymon.

– Może. Zaraz sprawdzę.

Ada odpaliła komputer.

– Nie ma – stwierdziła po chwili. – Znalazłam tylko *phragmites*. To jest po prostu trzcina. *Phragmites australis* albo *Phragmites vulgaris* to trzcina pospolita.

– Aduś, w łacinie rzeczowniki się odmieniają. Jest pięć deklinacji, a przypadków sześć. Pewnie to twoje *phragmitis* jest dopełniaczem. Genetivus trzeciej deklinacji. Ale to mi wygląda na zapożyczenie z greki. Ja znałem słowo *calamus*...

– Nieważne. Mnie tu wyszło LOCUS PHRAGMITIS. Czyli... To chyba będzie jakieś „miejsce trzciny”?

– Na to wygląda – zgodził się Tymon.

Żona podrapała się po głowie.

– Ale co to za miejsce? Trzeba będzie kombinować dalej.

– No to kombinuj, kombinuj...

Tymon w ogóle nie wierzył w te wszystkie orientalne czary-mary – nieważne: żydowskie, arabskie, indyjskie, tybetańskie czy chińskie – ale za nic w świecie nie odważyłby się do tego przyznać. Sprzeciwianie się Adzie nie było rzeczą bezpieczną.

Od początku zresztą czuł, że nie ma wyjścia. Pozwolił się Ariadnie prowadzić jak Tezeusz przez labirynt – choć inaczej niż on, nie za pomocą nici, ale za rączkę, jak dziecko – nie zastanawiając się nawet nad celem.

Damian Kozicki gwałtownie odsunął talerzyk z niedojedzoną jajecznicą, omal nie przewracając przy tym kubka kakao.

– Sandra, skończ już z tymi twoimi kaprysami! – burknął. – Nie ty pierwsza w historii jesteś w ciąży! Powiem więcej: nie ty pierwsza w historii nie wiesz, z kim!

– Przede mną pewnie była Dorota z Leszna? Nie miała adresu, tak samo jak ja? – odcięła się córka.

Kozicki rzucił łyżeczkę na talerzyk.

– Miała! Ona nie była taka głupia jak ty! My w waszym wieku byliśmy trochę inni! Czasami zdarzało się nam myśleć!

Ojciec niechętnie wspominał swój przedślubny romans z niejaką Dorotą Gizą, trwający przez ładnych kilka miesięcy – kilka spośród blisko czterdziestu spędzonych w Wuppertalu. Pan Damian, zapewne ku bezgranicznemu zgorszeniu swoich szlacheckich antenatów (być może patrzących na to z nieba razem z Kościuszką, choć Rajnold Suchodolski¹ o nich nie wspominał), woził taczkami cegły na budowie i mieszał zaprawę w betoniarce. Panna Dorota w tym czasie zmywała gary w jakiejś knajpie. Ich znajomość zakończyła się na wuppertalskim dworcu, gdy ona wsiadła do pociągu jadącego na wschód, a on postanowił jeszcze trochę popracować na niemieckiej *Bäustelle*, bo firma płaciła całkiem godziwe pieniądze, w Polsce nieosiągalne. Do Trzcínca wrócił dopiero półtora roku później.

Dalszych losów Doroty Gیزی nie znał. Teraz pewnie była poważną panią profesor od niemieckiego, albo może tłumaczką...

Tak czy owak, zerwanie wynikło po prostu z banalnej niezgodności charakterów.

– No przestańcie! – wtrącił się Andrzej, dziewiętnastoletni syn Kozickiego. – Ja już się nie mogę doczekać tego siostrzeńca. Będzie dobrze.

– Ty lepiej myśl o tym, czy ci się uzbiera trzydzieści procent! – prychnął ojciec. – Żebyś od przyszłego tygodnia nie musiał zakuwać do poprawki.

– Tato, ty dzisiaj wstałeś lewą nogą? Czy cię pchły pogryzły w nocy? Ja miałbym nie zdać matury? Nie wiem tylko, czy będzie osiemdziesiąt procent, czy dziewięćdziesiąt.

– Pewność siebie zgubiła już niejednego – mruknął Kozicki. Jak na potomka rycerzy przystało, dodał jeszcze coś o powrozach w krzyżackich taborach pod Grunwaldem, a potem w milczeniu zabrał się za stygnące resztki jajecznicy.

¹ Rajnold Suchodolski – autor „Poloneza Kościuszki”, rozpoczynającego się słowami *Patrz Kościuszko na nas z nieba*.

Andrzej westchnął, wzruszył ramionami i stanął w oknie, tyłem do ojca i siostry, dając w ten sposób do zrozumienia, że wymiana zdań przestała go już bawić. Przez chwilę obserwował ptaka krążącego nad koronami buków – chyba jastrzębia, a może myszołowa – po czym wyszedł z kuchni i zatrzymał się w przedpokoju, jakby niezdecydowany, co ma robić dalej. W końcu z wahaniem przekroczył próg salonu. Nie był pewny, czy przypadkiem nie zostawił tam swojego pen drive’a – tego starego, wręcz archaicznego, śmieszne dwieście pięćdziesiąt sześć megabajtów – którego przedtem nie mógł znaleźć. W gruncie rzeczy nie było na nim niczego ważnego, jedynie garść zdjęć z czasów bardzo zamierzchłych, z pierwszej klasy gimnazjum... Tak, pokazywał je Grześkowi Tomickiemu, trzy albo cztery dni temu, na komputerze Sandry, bo jego laptop był w serwisie – a więc pen drive chyba leży właśnie gdzieś w salonie. Wystarczy się rozejrzeć.

Podszedł do biurka w kącie – i jego spojrzenie padło na wiszące między oknami zdjęcie. Zza szybki patrzyła na niego młoda kobieta, uśmiechając się tajemniczo. Fotografia, pamiętająca czasy Rydza-Śmigłego, wykonana została w najlepszym atelier przedwojennej Warszawy. Stryjeczna babka Andrzeja, Domicela Kozicka, lubiła zadawać szyku. Unikała korzystania z usług podrzędnych fotografów, podrzędnych krawców i podrzędnych fryzjerów; nie odwiedzała też podrzędnych restauracji.

A ta przedpotopowa sepia miała w sobie jakieś dostojęństwo. Nie to, co kolorowe zdjęcia robione aparatem cyfrowym.

Następne zdjęcie Domiceli, z roku 1946, przyszło pocztą z Baltimore. A zaraz po nim – spóźnione zawiadomienie o podwójnym pogrzebie: jej i męża. Podobno wypadek samochodowy. Kto adoptował kilkumiesięczne dziecko? – tego Koziccy z Trzcínca nigdy się nie dowiedzieli. Znicze zapalili na grobie dopiero w sześćdziesiąt lat później; wcześniej przeszkadzał albo brak paszportu, albo brak wizy, albo jednego i drugiego naraz.

Te zdjęcia były jedynymi pamiątkami po stryjecznej babce. Starsze z nich wisiało od lat w tym samym miejscu: metr nad gniazdkiem, do którego wetknięto wtyczkę od nocnej lampki.

A obok nocnej lampki leżał poszukiwany przez Andrzeja pen drive. Dobrze, że nie spadł na podłogę, by nieodwołalnie zniknąć w brzuchu odkurzacza. Swoją drogą, to dziwne, że do tej pory nikt go nie zauważył.

Tymon siedział przy stole, podpierając brodę pięściami i od czasu do czasu zerkając na żonę pochyloną nad mapą. Coraz bardziej mu się chciało spać – a w dodatku przez cały wieczór czuł się skołowany jak przedszkolak po upadku z karuzeli. Ada, której dominację zaakceptował bez szemrania już w chwili, gdy pewnego zimowego dnia usiedli naprzeciwko siebie przy kawiarnianym stoliku, teraz władała nim (i wszystkim wokół niego) niczym despotyczne orientalne bóstwo, w każdej chwili mające pod ręką najróżniejsze środki przymusu, od zwykłych piorunów po paraliżujące spojrzenie Meduzy.

Ciszę, jaka nagle zaległa w całym bloku, gdy tramwaj przy akompaniamencie metalicznego zgrzytu szyn odjechał z przystanku, zakłócało tylko miarowe tykanie starego szafkowego zegara. Obciążniki XIX-wiecznego czasomierza lśniły w świetle lampy metalicznymi odblaskami. Teść Tymona twierdził, że wykonano je ze stopu irydu i platyny – tego samego, z którego sporządzono wzorzec metra w Sèvres; zięć przez uprzejmość nie zaprzeczał, ale od początku wiedział, że to nie może być stop platyny z irydem, bo ciężar właściwy się nie zgadza. Tak czy inaczej, zegar miał w rodzinie Koralików status relikwii. Owa relikwia trafiła do mieszkania Ady zaraz po ślubie.

Czyli też do mieszkania Koralików. I rzecz nie w tym, że stary Koralik kupił im mieszkanie; Ada, apodyktyczna i nieznosząca sprzeciwu, wymogła na mężu zmianę nazwiska. To, które odziedziczyła po ojcu, było jedyne w swoim rodzaju – nie tak ba-

nalne jak Nowak. A Tymon miał dwóch starszych braci, więc Nowaków i tak nie zabraknie.

Sugestię, by oboje pozostali przy dotychczasowych nazwiskach, małżonka zdecydowanie odrzuciła. Być może uznała ten pomysł za symboliczne osłabienie swojej pozycji.

Teraz Tymon Koralik, *de domo* Nowak, siedział przy stole i dyskretnie ziewał, a jego małżonka poszukiwała swojego Świętego Graala. A mówiąc ściśle: miejsca, do którego miało ją doprowadzić jej osobiste Tao. Miejsca, w którym pozytywna energia kosmiczna zapewni Ariadnie – a przy okazji również jej małżonkowi – zdobycie klucza do szczęścia.

Na razie Tao zawiodło panią Koralik – a raczej jej palec o polakierowanym na złoto paznokciu, niestrudzenie wędrujący po mapie sąsiedniego województwa – na porośnięte bukowymi lasami wzgórza powiatu karczowskiego. Drogę wskazała jej niezrozumiała dla Tymona kombinacja kabalistycznych znaków i jakieś liczby, nie wiadomo skąd wzięte, wśród których znalazły się daty ich urodzin, ślubu, najbliższej soboty i numer ich mieszkania na drugim piętrze.

Dlaczego on musiał być obecny (dawniej mówiło się „przytomny”, co w aktualnej sytuacji nie byłoby zbyt trafnym określeniem) przy tych poszukiwaniach?

Ada odrzuciła mapę na tapczan i sięgnęła po następną. POWIAT KARCZOWSKI – głosił napis na stronie tytułowej. A niżej, dwa razy mniejszymi literami i cyframi: SKALA 1 : 60 000. Rozłożyła ją, przez chwilę wodziła palcem to wzdłuż, to w poprzek poziomic, raz po raz zaglądając do notatek, by w końcu oświadczyć:

– To tutaj. – Złoto lakierowany paznokciec palca wskazującego postukał w zieloną plamę obok słowa „Trzciniac”. – Teraz jeszcze ściągnę dokładny plan tego grajdołu... a potem wyznaczymy dzień i godzinę. Spać pójdziesz później – dodała, szturchając Tymona łokciem.

Cholera jasna, czy naprawdę najlepszą porą na poszukiwanie Tao jest środek nocy?!

Na ekranie komputera pojawił się plan Trzcińca – małej, niespełna sześcioty-sięcznej miejsciny w powiecie karczowskim, leżącej u stóp wzgórza porośniętego bu-kowym lasem.

– Trzciniec? – Tymon na krótką chwilę się ożywił. – No to już masz to swoje *locus phragmitis*.

– Mhm. Też to zauważyłam. Wcześniej od ciebie.

Polakierowany na złoto paznokciec powędrował w dół, na południe, i zatrzymał się przy rozwidleniu dróg na peryferiach miasteczka.

– Ostatnie chałupy pod lasem – stwierdziła Ada. – To tam.

Tymonowi znów przyszło do głowy skojarzenie z Tezeuszem. Ariadna Emma Koralik prowadziła go w głąb prawdziwego labiryntu, zbudowanego z kart tarota, orientalnych gadżetów i magicznych formułek – a on bezwolnie za nią podążał. Ktoś patrzący z boku powiedziałby pewnie, że wciąż wodziła go za nos. I w kwestiach ży-cia codziennego, i w tym zwariowanym świecie ezoterycznych doktryn Wschodu. Dokąd zamierzała go zaprowadzić? Czy aż do owego odnalezionego na mapie *locus phragmitis*? I po co?

Co takiego szczególnie ważnego może kryć w sobie zapyziała miejscina w po-wiecie karczowskim?

Może po prostu „ruch jest wszystkim, cel jest niczym”?

W obecności Ariadny Emmy Koralik lepiej było tej myśli nie wypowiadać gło-śno.

Trzeba w końcu zeskanować te zdjęcia, bo jeszcze je mole zjedzą i wszystko prze-padnie – pomyślał Andrzej, odkładając na bok kasetkę z rodzinnymi pamiątkami, z których najstarsze pochodziły jeszcze z czasów Franciszka Józefa I. Jedne fotogra-fie wykonano w dworku lub w dworskim parku w Chodorowie, sprzedanym później

na licytacji, inne w nowym domu w Mistrzejowicach – podkrakowskiej wsi, włączonej do Krakowa dopiero po wojnie. A wszystko w sepii i brązach.

O, jeszcze jedno zdjęcie zostało na blacie biurka. To chyba pamiątka odwiedzin u nowego właściciela majątku w Chodorowie. W tle dworek, na pierwszym planie pradziadek z dziećmi: Amelią, Domicelą i małym Michasiem, późniejszym dziadkiem Andrzeja, a obok nich coś w rodzaju pomnika. Świadek niegdyśszego panowania Kozickich na chodorowskich – pożałujcie Boże – włościach, obejmujących sto kilkadziesiąt morgów ziemi ornej, dwieście morgów lasu, kamieniołom, cztery stawy i młyn. Czyli tak zwana stela – wykuta z piaskowca tarcza z herbem Półkożic.

In campo rubeo caput asininum deferens, quasi media capra – tak w XV wieku opisywał ten herb ksiądz kanonik Długosz. *Przedstawiający ośłą głowę w czerwonym polu, jakby pół kozy. Z czego wynikało, że wielebny nie był pewny, z jakim zwierzęciem ma do czynienia. Podobno jakiś Ligęza, pieczętujący się Półkożicem, chciał zamówić tarczę herbową u włoskiego rzemieślnika, ale mistrz odmówił i śmiertelnie się obraził, bo uznał, że możnowładca sobie z niego kpi...*

Może to dobrze, że ciotka Domicela zabrała tę kopię tarczy herbowej – wysokości siedmiu i pół cala, szerokości pięciu i trzech czwartych, jak skrupulatnie zanotował pradziadek – wykonaną przez jakiegoś brązownika na krakowskich Grzegórkach? Zawsze to jeden dylemat zoologiczny mniej.

Andrzej znów sięgnął po kasetkę i wyciągnął zdjęcie tego gadżetu. W przeciwieństwie do tarczy na chodorowskiej steli plakietka zawierała wszystkie możliwe elementy herbu: hełm, koronę, cymer, labry i co tam jeszcze przewidywała skomplikowana szlachecka heraldyka. Andrzej znał te słowa, ale wciąż mylił ich znaczenia – i jakoś mu nie zależało na zmianie tego stanu rzeczy. Owszem, historią się interesował, ale nie aż do tego stopnia. Choć, rzecz jasna, był bardzo dumny z siebie, bo dowiedział się ostatnio (a nawet zrozumiał), co to takiego niello – technika, którą wykonane zostały elementy rysunku na tej tarczy z brązu.

Ciekawe, czy w dawnych czasach, kiedy antenaci Kozickich bronili Małopolski przed najazdem wojsk Rakoczego albo ruszali z Sobieskim pod Wiedeń, syn Sandry miałby prawo do herbu? Chyba jednak nie. Pewnie na okres ciąży ukryto by ją w klasztorze norbertanek albo klarysek, a dziecko zaraz po urodzeniu zostałoby oddane jakimś zacnym, średniozamożnym mieszczanom... W dzisiejszych czasach, na szczęście, nie ma już takich problemów.

Inna rzecz, że szlachcianki w tamtych czasach nie jeździły na nartach. I nie studiowały.

Tak się kończą wypadki na narty zaraz po sesji zimowej. Sandra nie zdążyła się nawet dowiedzieć, w którym pensjonacie mieszkał tamten chłopak. Wyjechał niespodziewanie, podobno po jakimś ważnym telefonie od rodziny; tak przynajmniej twierdził jego kumpel. A o tym, że znajomość będzie mieć z lekka kłopotliwy ciąg dalszy, Sandra przekonała się już po powrocie z Krynicy, na początku drugiego semestru.

Mówi się trudno. Ważne, żeby dziecko było zdrowe i się nie jękało.

Może to o tym gościu mówiła kilka dni temu Cyganka na krakowskim rynku? Podeszła i zaczęła się naprzykrzać, że powróży, że wie o Andrzeju coś ważnego, że Andrzej ma się spodziewać gościa i że to zmieni całe jego życie... Andrzej podziękował jej w miarę uprzejmie, po czym szybko dał nura do chłodnego wnętrza knajpy na rogu rynku i Wiślniej, gdzie kelnerki o kształtnych biustach krążyły pomiędzy stolikami, roznosząc pokryte zimną mgiełką kufle piwa. Prawdę mówiąc, w żadne wróżby nie wierzył.

Na rok przed licytacją dworku w Chodorowie pewien jasnowidz przepowiedział pradziadkowi oszałamiające powodzenie w interesach i dalekie wojaże. Spełniła się tylko druga część wróżby – i to tylko częściowo, bo Kraków nie leży zbyt daleko od Chodorowa, a Trzciniec jeszcze bliżej. Trudno zresztą mówić o wojażach; raczej już o tułaczce, chociaż rozłożonej na raty.

Najpierw było mieszkanko na krakowskim Podgórzu i nieudana próba osiedlenia się w Warszawie. Potem skromne domostwo w Mistrzejowicach, dwa razy mniej-

sze od chodorowskiego dworku. Do czasu; chałupę podpalili esesmani poszukujący magazynu broni AK. Koziccy doczekali końca wojny w zapadłej wioszczynie u podnóża Beskidu Średniego. A po wojnie okazało się, że nie ma dokąd wracać. Wyjechali więc na Pomorze, by po kilkunastu latach trafić do Trzcińca, gdzie dziadek Michał znalazł żonę...

Czy Andrzej był jeszcze Kozickim z Chodorowa? Miejsca, w którym wychowało się szesnaście pokoleń potomków pana Augustyna, żołnierza dragonii, uczestnika bitwy pod Byczyną?

W dzieciństwie Andrzej nasłuchiwał się rodzinnych historii i od tej pory nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że osobiście przewędrował całą Polskę, od Chodorowa przez Kraków i Lębork do Trzcińca, i że w Trzcińcu też w gruncie rzeczy zatrzymał się tylko na chwilę, jak turysta.

Kuku-kuku-kuku... Zegar w pokoju ojca obwieścił, że minęła właśnie dziesiąta. Andrzej uświadomił sobie, że siedzi bez ruchu co najmniej od dziesięciu minut.

Odsunął fotel od biurka i wyszedł z pokoju. Skanowanie zdjęć odłożył na później.

Ojciec zamknął za sobą drzwi łazienki i wszedł do kuchni.

– Mówisz, że jedziesz jutro do Trzcińca?

– Mhm. A co, nie powinienem?

Starszy pan wzruszył ramionami.

– A skądże! Więcej urlopu już w tym roku nie dostaniesz. Rób z tą resztą, co tylko chcesz. Na narty nie pojedziesz, to jedź przynajmniej do kumpla. Skoro do stryjka nie masz ochoty...

Daniel się skrzywił. Wciąż go irytowało wspomnienie tamtego przerwane go przedwcześnie wypadu do Krynicy. Telefon bladym świtem, pilna sprawa, skrócenie

pobytu o trzy dni – by po powrocie do domu usłyszeć, że wszystko się rozeszło po kościach...

A to był pierwszy urlop w jego karierze. Teraz zostały mu do wykorzystania miszerne resztki, na które właściwie nie miał pomysłu. Parę razy poszedł na ryby, przejechał ponad sto kilometrów na rowerze, raz wyskoczył z Dawidem Kołaczkim na piwo do „Sosenki” – i tyle. Wyjazd do Trzcińca, do Marcela Szczukiewicza, z którym przed paru laty dzielił pokój w akademiku, wymyślił właśnie teraz, na poczekaniu. Na szczęście Marcel wciąż miał ten sam numer komórki.

A na wizytę u stryjka w Kamieniu rzeczywiście nie miał ochoty. Przed rokiem opuszczał stary dom, którego połowę odziedziczyli po dziadku Marianie, z uczuciem prawdziwej ulgi. Nie żeby między ojcem i stryjkiem dochodziło do jakichś konfliktów – ale jednak obu rodzinom było tam coraz ciasniej, mimo że jedna i druga od lat żyła sobie niezmiennie w trzyosobowym składzie: rodzice i jedna latorośl (stryjek miał córkę, gimnazjalistkę farbującą włosy na wiśniowo i bez pamięci zakochaną w Justinie Bieberze). Na szczęście drugi dziadek Daniela, ten z Sosnowicy, wyjechał do wujka Adama do Chicago i zostawił dom zięciowi. Daniel w ciągu ostatniego roku nie zdążył jeszcze dokładnie poznać rozkładu pomieszczeń w tej okazałej chałupie, ale ze zmiany adresu był bardzo zadowolony.

A mówiąc ściśle – z tego, że w końcu opuścił stary dom. Bo już nie z tego, że nowy stoi właśnie w Sosnowicy przy alei Norwida, na niewielkiej piaszczystej wydmie z widokiem na ugory porośnięte nawłocią i odległy o blisko kilometr las. Oczywiście sosnowy.

Dopiero za tym borem, za doliną Zaklikówki, o przeszło godzinę drogi od domu, zaczynał się inny świat: kraina pagórków porośniętych stuletnimi bukami, głębokich wąwozów i zarośniętych maliniakami osuwisk. Jednym słowem – świat taki sam jak w okolicach Kamienia, Chodorowa i Trzcińca. Z tą niewielką różnicą, że Bucznik – najwyższy spośród szczytów widocznych z okien domu w Kamieniu – był wyższy od tych pagórków, a jego stoki bardziej strome.

Gdyby to było możliwe, Daniel podniósłby swój nowy, sosnowicki dom jak budkę dla szpaków i postawiłby go gdzieś w Kamieniu. Oczywiście w bezpiecznej odległości od domu stryjka i jego zakochanej w Justinie Bieberze latorośli. Albo może w Chodorowie. W każdym razie w tamtej okolicy, w swoich rodzinnych stronach. Tam było jego miejsce.

Przez pięć lat, jako student, w każdy weekend jeździł pociągiem z Krakowa do Kamienia i z powrotem. Teraz, po przeprowadzce – mimo niewątpliwej ulgi, z jaką opuszczał stary dom – wciąż miał wrażenie, że wędrówka trwa. Czuł się jak turysta, który na czas nieokreślony wprowadził się do hotelu. W Sosnowicy było mu dobrze – ale nie potrafił uwolnić się od wrażenia tymczasowości.

– Eee... Co?

Tak się zamyślił, że nie usłyszał pytania ojca.

– Mówiłem o Krynicy. Myślałem, że zaraz potem trzeba będzie planować wesele. Ktoś mi coś mówił o jakiejś dziewczynie?

Daniel odwrócił się, by ukryć zmieszanie, i machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie ma o czym mówić. Teraz już ledwo potrafił sobie przypomnieć imię tej studentki. Nie wiedział nawet, skąd pochodzi i co studiuje; przecież nie zdążyli nawet dłużej porozmawiać. Wiedział tylko, że zimową sesję zaliczyła bez problemów. No i... pamiętał pieprzyk w okolicach lewej łopatki.

– To o której jutro jedziesz? – Ojciec zmienił temat.

– Ósma dwadzieścia cztery. Nie będę przeplącał za pospieszny, bo też się wleczę jak ślimak.

– I zostaniesz do pojutrze?

– Chyba tak.

Sandra weszła do przedpokoju, zrzuciła buty, założyła kapcie, po czym ciężko usiadła na krześle w kuchni i sięgnęła po karton soku grejpfrutowego, przed chwilą napo-

częty przez brata. Nalała sobie pełny kubek, wypila duszkiem, po czym nalała jeszcze raz – tym razem do połowy.

– I co, w porządku? – zapytał Andrzej.

– Mhm. Lekarz mówi, że wszystko w normie. Ale dzisiaj parno! Burza ma być podobno pojutrze, a mnie się zdaje, że przyjdzie za pół godziny.

– Wytrzymasz – pocieszył ją. – I on... albo ona... też wytrzyma – dodał, zerkając na brzuch siostry.

Odpowiedziała jakimś niezrozumiałym pomrukiem.

– Tobie dobrze, już wiesz, że zdałeś i na ile – powiedziała po chwili z uśmiechem. – A ja jeszcze muszę czekać prawie cztery miesiące.

Andrzej chyba nagle przestał słuchać. Zapatrzył się w okno.

– Co tam widzisz? – zapytała.

– W tym sęk, że nic – przyznał, jakby z wysiłkiem odrywając spojrzenie od gliniastej drogi, która wciąż nie mogła się doczekać asfaltowej nawierzchni. – Ale mam takie dziwne wrażenie... wiesz... że z tamtej strony – ruchem brody wskazał odległą o czterysta metrów kapliczkę pod lipami – ktoś za chwilę przyjdzie albo przyjedzie. Czuję się tak, jakbym na to czekał.

– Wiesz, ja wczoraj też tak miałam. Dziwne...

– No właśnie. Ja to może przez tę Cyganke... Ale ty?

– Jaką Cyga... Aaa, wiem, opowiadałeś. – Sandra nagle sobie przypomniała, o co chodzi.

Przez chwilę milczeli, a potem dziewczyna podsumowała:

– Wiesz co? Na pierwszym roku mieliśmy psychologię i doktor Malinowska mówiła nam o czymś takim, co się nazywa psychoza natręctw. Ale nam to chyba jeszcze nie grozi?

Andrzej się roześmiał.

– Chyba nie. I nie ma sensu zwracać uwagi na różne takie wrażenia, przywidzenia czy inne *déjà vu*. Do jutra przejdzie.

– Jutro mama wraca z tego szkolenia w Warszawie – przypomniała Sandra. – I znów będzie od rana do wieczora wyglądać, jakby zjadła cytrynę.

– Nie przejmuj się. Nie jest zachwycona, ale potem będzie próbowała zagłaskać dzidziusia jak kociaka.

II. Tao

No i się zaczęło. Wyruszyli. Przenajświętsze Tao Ariadny Emmy Koralik miało ich nieomylnie poprowadzić do celu.

Tao – czyli Droga, koniecznie przez bardzo duże D. Stanowiąca jedną całość z mieszkaniem urządzonym według zasad feng shui, z tymi wszystkimi chińskimi fletami, mobilami wyciętymi z kolorowej folii i zwierciadełkami bagua, ośmioma czakrami i skomplikowanym systemem kabalistycznych formuł. Odwzorowanie Uniwersum. Oś świata. Yggdrasil. Wszechogarniający Logos i Entelechia. I nie wiadomo co jeszcze.

I oto w słoneczny lipcowy dzień, gdy niespełna osiemdziesiąt procent maturzystów leczyło kaca po oblewaniu sukcesu, Tao pani Ariadny Emmy Koralik okazało się pociągiem TLK relacji Katowice – Kraków, potem pociągiem Regio relacji Kraków – Zaklikowice, z postojem na stacji Trzciniec. A dalej już trzeba było piechotą.

Jak trzeba, to trzeba. Prowadź, Ariadno.

Z jakichś powodów Ada nie chciała jechać kupionym przed paroma miesiącami niebieskim hyundaikiem. Czy nakazały jej to czakry, Kabała i karty tarota, czy może wyczytała taką radę w zwierciadelku bagua – tego Tymon się nie dowiedział. Gdyby zapytał, raczej nie zrozumiałby odpowiedzi, a potem musiałby dojść do wniosku, że nie rozumiał własnego pytania. Tak więc przyjął decyzję żony bez słowa sprzeciwu czy wątpliwości. Jak zwykle.

Pójdziecie Drogą wskazaną przez feng shui, Kabałę i Bóg wie co jeszcze właśnie tego dnia miało przynieść spełnienie. A nawet Spełnienie – też koniecznie dużą literą, którą wyraźnie było słychać w tym słowie, wypowiedzanym przez Ariadnę uroczyście i z namaszczeniem. Na czym owo Spełnienie miało polegać – tego Ariadna już nie wyjaśniła, a Tymon nie nalegał. Z westchnieniem rezygnacji poddał się jej nieugiętej woli i niezachwianej wierze w Drogę oraz jej cel. Czy celem miało być osiągnięcie zdolności czytania w myślach, czy może szóstka w Lotto albo wniebowstąpienie w pełnym rynsztunku, wraz z komórką w kieszeni i adidasami na nogach – też lepiej było nie pytać. Mąż adeptki nauk tajemnych nie chciał wyjść na tępego prostaka i troglodytę.

Nie zapytał też, po co jej pistolet, który schowała do torebki.

– Zabrałam ojcu – wyjaśniła krótko, widząc jego zdziwione spojrzenie. Tego zresztą mógł się domyślić; teść miał pozwolenie na broń, a wyjeżdżając, zostawił córce klucze do domu w Brynowie. – Nie ma go do końca lipca, to nawet nie zauważy, że sobie pożyczyłam.

I tyle. Tymon nawet nie śmiał podejrzewać, że Ada zaplanowała napad rabunkowy na rezydencję jakiegoś milionera, mieszkającego na peryferiach pipidowy z trzciną w nazwie. Trochę się zdziwił, że nieomylnym wyrokom Tao trzeba będzie – być może – pomóc, używając broni palnej, ale nie powiedział tego głośno. Małżonka już zdążyła go oduczyć wypowiadania niektórych myśli.

Ada zresztą po chwili zdobyła się na parę słów wyjaśnienia. Tymonowi wprawdzie niczego to nie wyjaśniło, ale musiał docenić ów szlachetny gest. Mogła przecież niczego nie tłumaczyć. Profani powinni przyjmować słowa i czyny wtajemniczonych bez komentarzy i bez zadawania pytań.

A wytłumaczyła mu, że zanim Tao doprowadzi ich do celu, będą musieli poradzić sobie z niebezpieczeństwem, jakie stanowi Kafù. Przed tym niebezpieczeństwem nie uchroni ich samo Tao; to już sprawa bezpośrednio zainteresowanych, ich przezorności, silnej woli i konsekwencji w działaniu. Tej przezorności potrzeba naprawdę

wiele, bo każde działanie prowokuje przeciwdziałanie, a każda siła przyciąga siłę przeciwną.

Kafù. Tymon znał to słowo. Pochodziło z odmiany kreolskiego, używanej przez haitańskich czy też martynikańskich imigrantów mieszkających bodaj na Florydzie, albo może w Alabamie. Niejaki Michel Duval, domorosły guru, głosiciel doktryny ezoterycznej łączącej elementy voodoo z tantryzmem, zen i Wadźrajaną, przedstawiał owo Kafù jako punkt przecięcia sprzecznych ze sobą mocy i dążeń. Dlatego też nadał temu czemuś taką właśnie nazwę: słowo pochodziło od francuskiego *carrefour*, oznaczającego skrzyżowanie.

Na skrzyżowaniu trzeba uważać na samochody, a nie strzelać – pomyślał wtedy Tymon. I znów nie odważył się powiedzieć tego głośno.

Teraz, czekając na Adę, która „musiała najpierw spokojnie rozłożyć karty i coś sprawdzić”, zastanawiał się, czy ten stary, spękany asfalt prowadzący w stronę widocznego na horyzoncie lasu ma cokolwiek wspólnego z jakimkolwiek Tao. Jego przepełniona ezoteryczną wiedzą małżonka siedziała przy stoliczku na tyłach niedużego sklepiu, w skupieniu wpatrywała się w rozłożoną na blacie talię tarota, a on błędził roztargnionym spojrzeniem po dziurach w jezdni i po wierzchołkach jabłoni w zdziczałym sadzie, i z minuty na minutę coraz bardziej wątpił.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

BIERZ MNIE

antologia opowiadań zmysłowych

Cielesne uciechy, gorące spojrzenia, złamane serca.

Ludzie pióra płci obojga kochają nie tylko książki, i nie z samej jedynie literatury czerpią rozkosz – są przecież przede wszystkim kobietami i mężczyznami. Autorki i autorzy niniejszej antologii spłodzili oto dziewięć śmiałych opowiadań o tym, co najbardziej ludzkie, choć często i obce, dla czytelniczek i czytelników otwartych na nowe doznania.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość łączą się tu z miejscami bliskimi i dalekimi, nauka i magia z intymnością i pożądaniem, a piękność z potwornością; egzotyka splata się ze swojskością, subtelność z dosadnością, a miłość z seksem.

Z tego mariażu narodził się zbiór pobudzający zmysły i podniecający wyobraźnię, ale też dający do myślenia – nie tylko w długą, bezseną noc.

NIEDOCZEKANIE

Gdyby babcia miała wąsy, czyli antologia historii alternatywnych.

Co by było, gdyby było inaczej, niż jest? Historie alternatywne to doskonała pożywka dla wyobraźni i niezły sposób na odreagowanie niepowodzeń jednostek i zbiorowości. Bo przecież gdyby wtedy, dawno temu, coś potoczyło się inaczej, to dzisiaj wszyscy byliby zdrowi, bogaci i szczęśliwi. Albo i nie...

Niedoczekanie... Od alternatywy na parę, przez gwiazdnych wojowników i nieśmiertelne dynastie, po kolonializm na odwrót – antologia ośmiu historii alternatywnych z podniesionym czołem odpowiada na pytanie: co by było gdyby?

Antologię „Niedoczekanie” promuje opowiadanie „Parowy Hycel”. Kto parą wojuje, od pary ginie! Krzysztof Kochański bierze na warsztat fascynującą konwencję steampunku i brawurowo nadaje jej autorski szlif godny kunsztu weterana polskiej fantastyki. W świecie na pozór rodem z pozytywistycznych powieści wiek pary i elektryczności okazuje się być wiekiem pary, mechaniki, chemii i... zmysłowości!

DO DIABŁA Z BOGIEM

Antologia opowiadań fantastycznych

Opium dla ludu w 10 odsłonach

Do diabła z bogiem... Ale którym bogiem? Do jakiego diabła i po co? Dziesięciu autorów tej fantastycznej antologii odpowiada na dziesięć różnych sposobów – nigdy jednak na klęczkach.

Czy pisarze zajmujący się fantastyką mogą pisać o religiach? Zbiór opowiadań, który prezentujemy, dowodzi, że nie tylko mogą, ale powinni! Efekt konfrontacji wiary z rozumem, przeszłości z przy-

szłością, magii z fantazją może Was zaskoczyć. I prędzej czy później niektórzy z was dojdą do wniosku, że to wszystko jest... fikcją.

SZABLĄ I WĄSEM.

Antologia opowiadań sarmackich

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ogień i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

„Szablą i wąsem” to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

ŚWIATY RÓWNOLEGŁE

Antologia opowiadań fantastycznych

Sekcja literacka ŚKF w akcji

Jaki los czeka małą dziewczynkę i jej ojca osamotnionych w postapokaliptycznym zimowym świecie? Czy genetycznie udoskonalony detektyw rozwiąże sprawę brutalnych morderstw? Co wydarzyło się na L’Isle d’Escargot, jak kończy się przywołanie ducha Chopina i kim naprawdę jest syn śląskiego alchemika, który od najwcześniejszego dzieciństwa ma wrażenie, że wszyscy prócz niego żyją z jakąś straszną tajemnicą?

W „Światach równoległych” znajdziemy opowiadania zarówno autorów znanych i nagradzanych, jak i debiutantów. Znajdziemy SF twarde i humorystyczne, grozę, groteskę, kryminał oraz fantasy w różnych odcieniach. Wszystkie te teksty łączy jedno – udowadniają one, że jeśli szukać gdzieś literackich talentów, to przede wszystkim w Śląskim Klubie Fantastyki.

ANTOLOGIA „KRYMINALNA 13”

to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów na

wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotykających wydarzeń i postaci historycznych.

Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, TOMY I, II, III i IV

„Jedwab i porcelana” to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zmaga się z własnymi demonami i samym sobą. „Jedwab i porcelana” to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów: „Biały tygrys”, „Niebieski smok”, „Czerwony ptak” i „Czarny żółw”.

Dawid Juraszek: CAIREN. DRAPIEŻCA

Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen!

Dziesięć wartkich opowiadań. Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem mięśni i przymrużeniem oka. A w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, powabnych dziewczek, groźnych monstrów, magicznych sztuk, starożytnych grobowców, literackich nawiązań, i czego tam jeszcze.

Pośród szczęku mieczy, szabli, koncerzy, sztyletów, kindżałów, pugińców i handzarów, jęku cięciw, bają mędrców i westchnień rozkoszy... W ociekających przepychem pałacach Czungii, przedwiecznych ruinach miast Goryo, podmorskich grotach potworów Nipponii, przybytkach zmysłowych uciech Syamii... Ramię w ramię i twarzą w twarz z Mengutami, Tuerami, Malajami, Jugurami, Manczami i Parsami... Przez spienione grzywacze Oceanu Morza, niezgłębione dżungle Kmerii, śnieżne pustkowia Xybelii, monsunowe ulewy Czambu... Wszędzie tam, bez zbytej rewerencji dla chanów, szejków, cesarzy, kalifów, sułtanów, królów, szachów, szogunów czy maharadzów, dumnie, butnie i zuchwale kroczy CAIREN!

Andrzej W. Sawicki: KOLCE W KWIATACH

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg” i „Furia błękitna jak ogień”. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmienicy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

Andrzej W. Sawicki: FURIA BŁĘKINA JAK OGIEŃ

Rok 1863. W Polsce trwają buntownicze walki z wojskami Imperium Rosyjskiego. Drugi dyktator powstania zostaje pokonany i zmuszony do ucieczki, kolejne polskie bandy miażdżone są karzącą carską pięścią. Nadzieja umiera po raz kolejny.

Ale gdzieś w lasach formuje się oddział straceńców złożony z odmieńców o krwi skażonej czynnikiem mutatio. Obdarzeni nadludzkimi mocami desperaci rzucają wyzwanie carskiej potędze. Szpie-dzy donoszą, że mutanci zbierają niedobitki rozbitych powstańczych partii i kierują się na Warszawę.

Ruszą do ostatniego, desperackiego boju. Rozniecą ogień, mogący spalić nie tylko carskich wrogów, ale wszystko wokół. Pozwolą porwać się furii, która może zniszczyć nawet ich samych.

Maciej Żytowiecki: SZUJE, MĄTWY I STRACEŃCY

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

Maciej Żytowiecki: MÓJ PRYWATNY DEMON

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną maszynę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieże zaświatów, od średnio-wiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

Emma Popik: WYWIAD Z BOGIEM

Kim jest człowiek nazywany przez prosty lud bogiem? Podobno tworzy nowe byty – a to jednak roboty bogów. Ale czy jest ważniejszy od wpływowego dziennikarza, który również posiada boską

moc? Może wywyższać ludzi swoimi artykułami lub strącać ich w niebyt niesławny byle pomówieniem. Spotkaniu tej dwójki poświęcone jest tytułowe opowiadanie.

Bohaterowie pozostałych, podejmując decyzje, wykonując swoją pracę, wypełniając misje lub rozkazy, mają wpływ na całe miasta, kraje, a nawet planety. Albo intymniej – odmieniają los jednego człowieka, jednej miłości...

Emma Popik: NA ZAWSZE PIĘKNI I MŁODZI

Ofiarowujemy czytelnikom sprawdzoną hard sf. Prezentowane opowiadania – ostre, znaczące i niezmiennie ciekawe – ukazywały się drukiem w „Fantastyce”, „Nowej Fantastyce”, „Science Fiction”, „Fantasy and Horror” oraz w osobnych wydaniach książkowych; wśród nich „Mistrz” – uznany za jedno ze stu najlepszych polskich opowiadań. Zebrałiśmy je razem i wierzymy, że tą literacką ucztą zadowolimy zarówno wyrafinowanych smakoszy, jak czytelników lubiących po prostu dobrą, „męską” prozę, pełną akcji, przygód, mięsistych scen, ale niepozbawioną refleksji.

Emma Popik: WIGILIA SZATANA

Kolejny rewelacyjny zbiór Emmy Popik to smakowity kąsek dla pasjonatów dobrej fantastycznej prozy i mocnej hard sf, wgryzającej się w mózg i przepalającej trzewia.

Tym razem autorka wprowadza nas w świat, który zostanie zbawiony przez... Szatana. Chcesz takiej apokalipsy, takiego końca i nowego początku? Nie chcesz? A jeżeli żadna inna wyższa siła się nie kwapi? Jeżeli Opatrzność odwróciła się od świata i ludzkości?

Coś dla czytelników o stalowych nerwach. „Wigilia Szatana” to kolekcja przejmujących, mocnych opowiadań o upadku cywilizacji, słabości i błędach człowieka, o zbrodniach, które popełnia na najbliższych oraz na otaczającym go świecie.